

Koszenie trawy również nie należało do łatwych, a codzienne machanie kosą mocno wyczerpywało fizycznie i wymagało regeneracji, odnowienia sił, a więc kaloryczne odżywianie się było bardzo pożądane i dlatego nasz bohater starał się jak najwięcej spożywać słoniny, która była w wielkim poważaniu na Wileńszczyźnie. Nie zawsze udawało się zaopatrzyć w ten poszukiwany produkt, gdyż zabita raz do roku świnia nie mogła dostarczyć wystarczającej ilości słoniny i musiała matka jakoś kombinować, ażeby chociaż w jakiejś mierze zaspokoić apetyt syna na nią.

Najprzyjemniejszym wydarzeniem dla niego było kupno kamaszów, na które zdołał odłożyć parę złotych dopiero po dwóch latach zarobkowania. Długo nie mógł uwierzyć, że jest właścicielem tego jakże pięknego, błyszczącego obuwia i dopiero dotknięcie ręką butów utwierdziło go w tym przekonaniu. Zawsze, przed wyruszeniem w pole zaglądał pod łóżko gdzie ukrywał się jego „skarb”, długo cieszył wzrok i pilnował, ażeby nikt z domowników nie próbował nawet go dotknąć. W niedzielę wyruszał na bosaka, z przewieszonymi przez ramię kamaszami do kościoła w Twerczu i dopiero na cmentarzu przed świątynią zakładał obuwie na nogi, które były niezbyt czyste i dlatego długo wycierał je zerwaną trawą. Podczas mszy co chwilę spoglądał ukradkiem na nogi i był przekonany, że wszyscy patrzą na niego, podziwiają piękne buty. Do domu wracał, ma się rozumieć, na bosaka, a buty znów zajmowały swoje miejsce na ramieniu. I w ogóle, trzeba powiedzieć, niedziela należała do najpiękniejszych, najprzyjemniejszych dni w tygodniu, albowiem właśnie wtedy mógł wypocząć, wybrać się nad rzekę z wędką, złapać trochę rybek, z których matka przyrządzała wspaniałą zupę na wieczór. Lubił usiąść na brzegu Birwety w tym miejscu, gdzie robiła pętlę – widocznie starała się ominąć na swej drodze wysoki pagórek, obserwować latające jaskółki, radośnie szczebioczące, dotykające swoimi skrzydełkami taflę wodnej, wykonujące w powietrzu przeróżne piruety; one to na przeciwnym brzegu, w stromym brzegu robiły zawsze sobie gniazda i wczesną wiosną co roku do nich powracały. Dalej, za tym brzegiem, jak okiem sięgnąć ciągnęły się łąki, które szczególnie wiosną w promieniach jaskrawego słońca iskrzyły się różnorodnością barw polnego kwiecia i musiał zawsze mrużyć, zasłaniać dłonią oczy, nieprzyzwyczajone do takiego festiwalu światła i koloru. Nad nimi latały mocno machające skrzydłami czajki, które tak charakterystycznymi dla nich okrzykami „giwi, giwi” pozdrawiały mieszkańców tych okolic. Słowo litewskie „giwi” znaczy „żywi” i dlatego w tym ich wołaniu dopatrywano się życzliwego, pełnego troski zapytania: „jak żyjecie? jak żyjecie?”

Na prawo natomiast przebiegała droga do Hoduciszek, którą w jedną i drugą stronę jechały furmanki, podnosząc tumany kurzu, a przy zetknięciu się z drewnianym mostem wywoływały mocne dudnienie, przypominające odgłosy zbliżającej się burzy z grzmotami. Czasami przemykały tędy, przeważnie w kierunku Twercza i bryczki, pojazdy, że tak powiem, uprzywilejowane, bardziej wytworne, w których miejscowa szlachta, właściciele ziemscy wygodnie siedząc podążali na wszelkiego rodzaju spotkania towarzyskie, a później wracali do swoich dworców weseli, rozbawieni, mocno gestykulując i głośno śmiejąc się. Nie uszło uwagi Pranasowi i to, że dość często przemieszczał się tędy i wielmożny pan Rybicki ze swoją

małżonką Stefcią. „Och, jak im jest dobrze... mogą sobie ile tylko chcą balować, weselić się, jeść przeróżne potrawy, ładnie ubierać się. Nie muszą harować w polu ... – wzdychał Pranas – a ja, niepiśmienny chłop, całe życie będę na nich pracował. Co za los!”

I żal, poczucie krzywdy mocno ścisnęły mu serce, przyginały niemal do samej ziemi, a zarazem coraz bardziej rosła w nim nienawiść do tych pasibrzuchów, demonstracyjnie, pełnymi garściami korzystających ze wszelkich przyjemności życiowych. „Oj, gdyby nawet drobną część tego ich bogactwa mógłbym mieć, to moje życie wyglądałoby inaczej – marzył młody parobek. – Kupiłbym od razu kilo kiełbasy, dużo słoniny, konfitur. Ubierałbym się jak panicz... Wszyscy patrzyliby na mnie z zazdrością...”. Oczami wyobraźni już widział te wymarzone rzeczy w swoim posiadaniu i uśmiechnięty wracał z wędką na ramieniu do ubogiej chaty. Dobięgał końca piękny dzień, kiedy mógł sobie trochę odpocząć i bez przeszkód pomarzyć. Jednak na widok swojej „nory” marzenia przyskały, rozpuszczały się w dużym kubku czarnej, kłującej rzeczywistości.

Któregoś dnia, w czasie krótkiej przerwy w pracy, wpadł nagle do domu i zobaczył to, czego nigdy nie spodziewał się zobaczyć, co go kompletnie załamało, napełniło wstrętem, niesmakiem, jak na dłoni ujrzał obudę, dwulicowość najbliższej mu osoby. Jego matka leżała z lekko rozłożonymi nogami, kompletnie naga w towarzystwie również nieubranego, bez przykrycia faceta, który trzymał rękę na jej brzuchu. Adela zapewne była całkowicie pewna, że nikt im w tym, co teraz robią, nie przeszkodzi, bo przecież córki zostały umiejętnie wymanewrowane, wysłane do dalekiego lasu na poziomki, chociaż, jak się okazało, nie był to jeszcze sezon na nie. Natomiast Pranas w ogóle nie wchodził w rachubę – harował jak wół w sporej odległości od domu u pana Rybickiego, a więc z jego strony nie groziło niebezpieczeństwo przyłapania ich na gorącym uczynku. Kiedy nagle zobaczyła swego syna, zmieszkała się, ale znów nie aż tak bardzo, więcej ją oburzyło, zezłościło to, że przeszkodził im w momencie największej przyjemności zbliżenia seksualnego, kiedy cała wprost płonęła ogniem pożądania i o niczym więcej nie myślała.

– Cholera jasna... co tu robisz? Przecież miałeś pracować o tej porze u pana? Musiałeś nam wszystko popsuć? – ze złością powiedziała i udawała, że nic nadzwyczajnego się nie stało – po prostu normalka.

Starała się w ten sposób odwrócić uwagę od tego, co przypadkowo zobaczył Pranas, zmarginalizować sprawę.

– Co tak się gapisz? Uciekaj stąd... – rzuciła rozkazującym tonem pod jego adresem i próbowała przytulić do siebie kochanka, zatrzymać go przez chwilę, gdy tymczasem on sponószył się jak ptak i chciał jak najszybciej odlecieć.

Pranas stał przez chwilę jak porażony prądem, a kiedy uświadomił sobie, co się stało, wyskoczył jak bomba za drzwi i biegł bez opamiętania przed siebie w nieokreślonym kierunku.

„Jak to jest możliwe, ażeby matka tarzała się w rozpuście z nieznanym mężczyzną i robiła to w tak oczywisty sposób? – bombardowały głowę chaotyczne, nieuporządkowane myśli. – A jeszcze nie tak dawno pochowała swego męża i tak płakała, ryczała, wprost wychodziła z siebie na jego pogrzebie, a tu... proszę bardzo – szybko znalazła drugiego...”. Nie mógł w żaden sposób zaakceptować tak haniebnego zacho-

wania się matki, widział w tym jej zdradę w stosunku do niego i siostr, czuł się perfidnie oszukany, wyprowadzony w pole. „Spokojnie, nic takiego się nie stało – pojawiały się i takie myśli, które próbowały zrównoważyć poprzednie rozważania – przecież tego rodzaju miłość uprawiała i przedtem w sposób otwarty z ojcem?...”. Jednak nigdy w swoim krótkim przeciw życiu nie wyobrażał sobie nawet w myślach takiej sceny, jaką przed chwilą zdemonstrowała matka, którą kojarzył zawsze i tylko z ojcem, a tu nagle taki cios w plecy. „Jak ona mogła... – dalej roztrząsał w głowie w sposób wiele gorączkowy zaszłą sytuację, a gdy trochę się uspokoił spytał sam siebie:

– A co ja mogę teraz zrobić, jak się zachować?”

Rzeczywiście jego położenie nie należało do najlepszych, w żaden sposób nie był w stanie prowadzić samodzielnego, niezależnego życia, wprost otwarcie demonstrować swojego niezadowolenia wobec matki. Nic innego nie wypadło mu w tej sytuacji zrobić, jak pogodzić się z tym, zacisnąć mocno zęby, zamknąć się w sobie, nie pokazywać otoczeniu tego, co w jego wnętrzu się dzieje. I chociaż od urodzenia nie należało do wylewnych, gadatliwych ludzi, to te „występy” matki sprawiły, że całkowicie pograżył się w samotności, stał się mrukiem. Bardzo często dochodziły do niego plotki na temat frywolnego zachowania się Adeli, również i koledzy-parobki czynili niejednokrotnie aluzje do rzekomo częstych wydarzeń miłosnych w jego chacie, ale on starał się puszczać to mimo uszu, zbywał przeważnie ich lakonicznym stwierdzeniem: – To są kłamstwa, wymyśli ludzkie...

Jednak w głębi serca czuł, że oni mówią prawdę, oczywiście w dużym stopniu ją ubarwiając, dodając dużo pikantnych szczegółów i wzrastała w nim pokusa, ciekawość, nawet pragnienie zobaczyć to jeszcze raz i przekonać się o wszystkim ponownie. Zaczął uważnie śledzić ją i trzeba powiedzieć, że na potwierdzenie swoich domysłów i szerszą się plotek w okolicy nie musiał zbyt długo czekać. Otóż w niedzielę po południu, kiedy wszyscy odpoczywali po ciężkim, pracowitym tygodniu, Pranas jak zwykle miał wybrać się nad rzeczkę łapać ryby, ale w rzeczywistości tylko udawał, że właśnie tam podąża; w połowie drogi nagle zmienił kierunek marszu i ukradkiem, oglądając się ostrożnie na boki, ażeby nikt go nie zauważył, przybliżył się do stodoły, a już w jej wnętrzu zajął dogodną pozycję do obserwacji przez szpary tego, co się miało dziać na dziedzińcu przed domem. Najpierw poszły głośno rozmawiając siostry, prawdopodobnie do koleżanek z sąsiedniej zagrody, gdzie jak zwykle plotkowały, dzieliły się z nimi swoimi uwagami o codziennych sprawach. Już wyrosły z tego wieku, kiedy beztrudnie bawiono się szmacianymi lalkami i oczywiście w chowanego, a ich piski, krzyki zawsze spotykały się z reprimendą dorosłych. Teraz dziewczyny starały się zachować inaczej, naśladować dorosłych i myśleć poważnie o swojej przyszłości. (...)

Koniec

Drukowane od trzech miesięcy fragmenty pochodzą z nowej książki Tadeusza Czerniawskiego pt. „Trzej bracia”, która za kilka tygodni ukaże się na rynku wydawniczym.

